

SÁNDOR
MÁRAI



STARA
MIŁOŚĆ

CZY
TEL
NIK

SÁNDOR
MÁRAI

*

STARA
MIŁOŚĆ

Wybór, przekład, przypisy i wstęp
Irena Makarewicz

Czytelnik

Tytuł oryginału
A régi szerető

© Heirs of Sándor Márai, Csaba Gaal (Toronto)

Okładkę i kartę tytułową projektowała
Maria Drabecka

Redaktor prowadzący
Anna Rucińska

Redaktor
Milena Schefs

Korektor
Bianka Dziadkiewicz

Redaktor techniczny
Hanna Bernaszuk

© Copyright for the Polish translation
by Irena Makarewicz, 2020

© Copyright for the Polish edition
by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 2020

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”
ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa
Warszawa 2020. Wydanie I
Ark. wyd. 17,5; ark. druk. 29,25
Skład: WMC, Warszawa
Druk: Drukarnia Wydawnicza
im. W.L. Anczyca SA, Kraków

ISBN 978-83-07-03466-9

Tak się zaczęło

*Ja nie chcę być węgierskim Flaubertem,
z czystym sumieniem przysięgam, że nie;
ja chcę być Sándorem Máraim, który napi-
sał pewną powieść.*

Sándor Grosschmid, 1918¹

Niezwykły fenomen Sándora Máraiego – w Polsce wydano dotąd trzydzieści kilka tomów jego prozy: liczne powieści, ponadto opowiadania, felietony, obszerne fragmenty *Dziennika*, wyemitowano wiele słuchowisk, wystawiono w teatrze najślynniejszy dramat *Przygoda* – rodzi pytania o istotę jego twórczości. Co sprawia, że ten węgierski pisarz ma u nas, a także w wielu innych krajach na całym świecie, tak licznych wielbicieli? Co takiego jest w jego utworach, że pomimo upływu lat niezmiennie przyciągają one uwagę, chwytają za serce wciąż powiększające się grono odbiorców? W odpowiedzi jedni będą wskazywać na mistrzostwo stylu i formy, inni – na niezwykle interesujący dobór szeroko zakrojonej tematyki oraz na ogromną kreatywność w przetwarzaniu najbardziej nawet banalnych wątków, jeszcze inni – na celność obserwacji i diagnoz dotyczących społeczeństwa, polityki, kultury, historii, antropologii, na humanizm i wizjonerstwo. Będą i tacy, którzy położą nacisk na niezłomną postawę Máraiego, na jego tragiczny los. I wszyscy będą mieli rację! Jednak nawet suma tych

¹ Cytat z niedatowanego listu do kolegi, Ödöna Mihályiego, stąd rok jedynie w przybliżeniu.

ważkich argumentów wciąż pozostawia pewien niedosyt, jest bowiem coś, co umyka zarówno racjonalnej, jak i emocjonalnej ocenie dzieła Máraiego. To jakaś na poły magiczna więź pisarza z czytelnikiem, relacja polegająca na dialogu twórcy i tego, do kogo kieruje on swoje dzieło. Gdy czytamy, słuchamy, oglądamy Máraiego, odnosimy wrażenie, że zwraca się on do nas wszystkich i zarazem do każdego z nas z osobna, bezbłędnie odnajduje ten czuły punkt, za którego dotknięciem zmuszeni jesteśmy dokonać pewnego rozrachunku z samymi sobą. W efekcie otwierają się nasze serca i umysły, umacnia nasze człowieczeństwo. Choć nieodmiennie przywodzi mi to na myśl moment utrwalony w scenie stworzenia Adama na słynnym fresku Michała Anioła w Kaplicy Sykstyńskiej, to jednak warto poszukać – poza tą dla wielu przesadnie podniosłą wizją boskości lub magiczności – tropów, które pomogłyby udzielić odpowiedzi na pytania postawione na wstępie. Cenne wskazówki przyniesie nam z pewnością uważne prześledzenie rozwoju Máraiego jako pisarza, poczynione na podstawie jego małej prozy, od prawdziwych juveniliów aż po dojrzałą nowelistykę. Taki właśnie zamysł towarzyszył powstawaniu niniejszego, chronologicznie ułożonego wyboru opowiadań, któremu nadałam tytuł *Stara miłość*.

Szkice, portrety, opowiadania i nowele, niekiedy o rozmiarach mikropowieści, to bardzo ważna część spuścizny Máraiego. Za życia pisarza ukazało się na Węgrzech kilka autorskich wyborów tych krótkich form, a także felietonów o walorach wybitnie literackich. Polskiemu czytelnikowi znane są dwa z tych zbiorów: tom opowiadań *Magia* oraz tom felietonów *Kronika Niedzielną*. Jednak Márai pozostawił po sobie znacznie więcej tekstów rozproszonych po rozmaitych gazetach i czasopismach, zwłaszcza tych wychodzących niegdyś w Budapeszcie i na Górnych Węgrzech. Dopiero pośmiertnie udało się całą tę jego nowelistykę, wcześniej

nieujęta w żadnym wydaniu książkowym, zebrać i wydać na Węgrzech w latach 2004–2005: w trzech tomach pomieszczono blisko sto pięćdziesiąt opowiadań, czyli wszystkie odnalezione dotąd w prasie utwory z lat 1916–1947. Z czasem czytelnicy węgierscy otrzymali też możliwość zapoznania się ze znaczną częścią publicystycznego dorobku Máraiego, również wydaną w wielu obszernych tomach, w tym z publicystyką pochodzącą z czasów powojennej emigracji, kiedy Márai powrócił wprawdzie do zawodu dziennikarza, ale nie pisywał już tekstów dla gazet, tylko wygłaszał dłuższe felietony w cyklu audycji w Radiu Wolna Europa. Miejmy nadzieję, że w najbliższych latach przynajmniej fragmenty tych jego dokonań ukażą się również po polsku.

Jak wskazują najnowsze badania historycznoliterackie, pierwsze teksty prasowe, choć nie wstępniaki, jak podawał w *Wyznaniach patrycjusza*, Márai opublikował w najbardziej znaczącej gazecie w swoim rodzinnym mieście, w Kassy¹ (dzisiaj Koszyce). Gazeta ta nosiła tytuł „Felsőmagyarország” (Górne Węgry), a od 1918 roku – „Kassai Napló” (Dziennik Kassański). Należała do redaktora i wydawcy Sámuela Morvaiego, właściwie: Samu Matznera, czyli – rzecz warta odnotowania – do ojca przyszłej żony pisarza, Loli. Ów debiut prasowy Máraiego miał miejsce w sierpniu 1915 roku, a zatem autor liczył sobie wówczas ledwie piętnaście lat. Już kilka miesięcy później przyszedł kolejny sukces: niedawny debiutant w zawodzie dziennikarza zdobył nagrodę w konkursie ogłoszonym przez wydawaną w Budapeszcie, prestiżową „Pesti Hírlap” (Gazetę Peszteńską) i tam właśnie w marcu 1916 roku opublikowano pierwsze jego opowiadanie, zatytułowane *Syn Lukrecji*. Dopiero w 1918 roku ukazał się tom wierszy *Emlékkönyv* (Księga

¹ Kassa (węg.), czyt. Kaszsa – stąd odmiana tej nazwy zastosowana w tekście.

pamiątkowa albo też: Księga pamięci), który przez lata uznawano za debiut pisarza.

Aktywność literacka w tak młodym wieku oznaczała dla Máraiego kłopoty w szkole, trzeba bowiem wiedzieć, że uczęszczał on do placówki prowadzonej przez norbertanów, a jej uczniom nie wolno było publikować w prasie pozostającej poza nadzorem Kościoła, chyba że za specjalną zgodą dyrekcji szkoły. W domu także czekały go kłopoty, ponieważ ojciec nie życzył sobie, by nazwisko rodowe, noszone przecież przez znanych prawników i urzędników, miejskich patrycjuszy, generalnie ludzi statecznych, z autorytetem, ale i z obowiązkami, słowem, by nazwisko Grosschmidów wiązano z artystycznymi, czyli mało poważnymi – jak sądziła głowa rodziny i jak bez wątpienia sądzili również inni stateczni mieszczanie – wyborami synów. Z tych właśnie względów przyszedł klasyk XX wieku początkowo posługiwał się pseudonimem i podpisywał się „Márai”, bez imienia. Niedługo potem zmienił jednak pseudonim na „Ákos Salamon” – tak sygnowane były choćby otwierające niniejszy tom opowiadania *Syn Lukrecji* oraz następne, zatytułowane *Ernő*, a z opowiadań tutaj nieujętych: *Ágoston halála* (Śmierć Ágostona). Czasem spotkać można także nazwisko „Máray”, i w tym wypadku bez imienia, jak również „Sándor Mérai” – przy okazji pominiętego w niniejszym wyborze opowiadania *Kristóf kezd rosszat sejtteni!...* (Kristóf zaczyna mieć złe przecucia!...). Nie da się wykluczyć, że niewielkie odstępstwa i warianty pseudonimu wynikały jedynie z błędów zecerskich. W każdym razie w 1919 roku ostatecznie ustalił się pseudonim „Sándor Márai”, który po latach, a dokładniej w kwietniu 1939 roku, stał się też oficjalnym imieniem i nazwiskiem pisarza. Również brat Sándora, Géza, słynny reżyser filmowy, zdecydował się przyjąć inne nazwisko: „Radványi”, przy czym za granicą dodawał jeszcze „von”, do czego zresztą miał pełne prawo, gdyż jego i Sándora prapradziadek, János Kristóf Kilián László

Grosschmid, rzeczywiście otrzymał w 1790 roku tytuł szlachecki. Warto zauważyć, że przy wyborze pseudonimów obaj młodzieńcy wykorzystali nazwiska jakoś już funkcjonujące w rodzinie: nazwisko Radványi występowało w rodzinie ich babki, natomiast nazwisko Máray przyjęło w połowie XIX wieku dwóch ich stryjecznych dziadków, a szlacheckiego przydomka Márai używał chrestny, a zarazem dziadek Sándora. Ten przydomek wziął się od nazwy rzeki Mára, dopływu Izy, która z kolei wpada do rzeki Maros w rejonie Máramaros (dzisiaj na pograniczu Ukrainy i Rumunii), gdzie swego czasu osiedliła się część rodziny Grosschmidów, którzy – jak wiadomo – byli z pochodzenia Dolnosaksończykami. Dzięki dodanej do nazwy rzeki Mára końcówce *-i* powstał przymiotnik Márai¹, oznaczający również człowieka wywodzącego się z rodu osiadłego w określonym regionie historycznych Węgier i przez wieki współtworzącego węgierską historię oraz tradycję. Dla porządku, a też jako ciekawostkę można dodać, że w liście napisanym przez debiutującego Máraiego do Dezső Kosztolányiego, sławnego wówczas literackiego autorytetu, któremu zawdzięczał swój debiut jako autor opowiadania i którego z czasem zaczął nazywać swoim mistrzem, pojawił się jeszcze inny pseudonim: „Zsögöd-Grosschmid”, ale i ten był już wcześniej używany w rodzinie pisarza.

Pierwsze opowiadania kilkunastoletniego Máraiego zadziwiają umiejętnością zwięzłego oddania istoty historii przelewanej na papier, celnego opisu świata i postaci, a także nakreślenia atmosfery zarówno wydarzeń szczególnych,

¹ A zatem nazwisko to podlega odmianie przymiotnikowej, stąd w dopełniaczu i bierniku: Máraiego, w celowniku: Máraiemu, w narzędniku i miejscowniku: Máraim, zawsze z akcentem na pierwszą sylabę.

jak i tych całkiem zwyczajnych. To obrazowanie jest początkowo jeszcze na tyle mocno nasycone poetyckością, że niektóre fragmenty ówczesnej prozy pisarza można by wręcz ułożyć w wiersze albo potraktować jako fragmenty utworów poetyckich. Młody Márai, jak to się często zdarza, był przede wszystkim lirykiem. Nie zmieniło się natomiast jego pisarskie credo, na które natykamy się już w juveniliach, tak oto ujęte w opowiadaniu *Ernő*:

Tak pisz! Zapamiętaj sobie, że samym zapachem bzu niczego na świecie nie osiągniesz. Dużo się ucz, bardzo dużo. Przeczytaj tę książkę, a zobaczysz, jak powinna wyglądać dobra powieść. Musisz być dobrze przygotowany, mieć dobry temat i ciepły, przemawiający do serca styl. Naucz się widzieć rzeczy takimi, jakie są, ale mimo wszystko patrz na nie z większego dystansu, bo wtedy są ładniejsze. Jeśli na górę patrzę z daleka, to jest ona piękna i niebieska, z bliska zaś – brązowa, nierówna, zakrzaczona, zwyczajna. Ale nawet i z daleka to wciąż jednak góra. Nigdy nie bądź całkowicie subiektywny, bo od tego utoniesz, ale nigdy też na tyle obiektywny, żeby nie kochać swych postaci...

Taki jest przykaz, jego realizacja natomiast nie zawsze zdaje się osiągalna dla młodego twórcy. W pierwszych utworach Márai nazbyt przesadnie stara się wszystko wyartykułować, wprost podkreślić to, co z jego punktu widzenia jest najważniejsze, co stanowi jego własne intencje i cel. Ten sposób opowiadania pisarz poważnie zmodyfikuje w przyszłości – wystarczy porównać scenę erotyczną w publikowanym tu opowiadaniu, a raczej mikropowieści *Podróż Metroplem* oraz tę w późnej powieści *Sąd w Canudos*. Oczywiście, mowa w nich o innych zdarzeniach, niemniej jednak z tej pierwszej biją realizm i szczegółowość, w drugiej zaś przeważają niedomówienie i nacisk na aurę niezwykłości, tak by czytelnik sam dopowiedział sobie detale i tym sposobem współtworzył dzieło. Nie bez powodu uznaje się, że choć scena kąpielii w *Sądzie w Canudos* wcale nie posiłkuje

się dosłownym odwzorowaniem seksualności, to przy całej swej subtelności wręcz kipi erotyzmem, oszałamia czytelnika i na długo zapada w pamięć.

Lektura opowiadań Máraiego przynosi kilka ważnych wniosków w odniesieniu do całości dzieła tego pisarza. Przede wszystkim uzmysławia ona, że w małej prozie Márai pozwala sobie na wypróbowywanie rozmaitych stylów i zabiegów fabularnych, sięga po rozwiązania niespotykane potem w jego twórczości, czego dobrym przykładem są publikowane tu opowiadania oniryczne: *Klucz* oraz *Przeszłość*. Podobnie jest z tematyką, bo pewne wątki i obszary Márai z czasem całkowicie porzucił albo pisał o nich jedynie w *Dzienniku*, a przecież w jego pierwszych utworach zajmowały bardzo ważne miejsce. Pewnym zaskoczeniem dla polskich czytelników może być przykładowo nierzadkie podejmowanie tematu dawnej i nowej Rosji, z cezurą rewolucji bolszewickiej, zaprezentowane tutaj w takich opowiadaniach jak *Rosyjscy goście*, a zwłaszcza *Podróż Metropolem*. Proza ta dowodzi, że choć Márai nigdy nie był w Rosji (ani tym bardziej w Związku Radzieckim), miał o tym kraju ogromną wiedzę, ponieważ nie tylko na bieżąco śledził tamtejsze wydarzenia, lecz także przyjaźnił się z rosyjskimi emigrantami. Znał więc obie strony medalu: radziecką propagandę oraz realne życie, a to z kolei doprowadziło go do przekonania, że czerwona dyktatura sowieckiego reżimu ma i długo będzie miała wielki wpływ na Europę i świat. Znakomitą znajomość rosyjskich i radzieckich realiów Márai potwierdził zresztą także w wydanym w 1932 roku na Węgrzech, a rok wcześniej również w kilku krajach Europy Zachodniej (w Niemczech, we Francji i Włoszech), albumie poświęconym polityce, noszącym tytuł *Így történt! 1914–1930 fényképekben (Tak było! Lata 1914–1930 na fotografiach)*, którego był pomysłodawcą i współtwórcą wraz z László Dormándim. Z trzech i pół miliona agencyjnych fotografii ich współpracownicy wybrali najpierw pięćdziesiąt

tyśnięcy, a następnie już oni sami, Márai i Dormándi – tych siedemset, które ostatecznie weszły do publikacji. Ponadto Márai dodał pod zdjęciami zwięzłe, niezwykle celne podpisy. W tym albumie obok wielu ciekawych obrazów z Rosji i ze Związku Radzieckiego pojawiło się – nie bez przyczyny i wręcz wizjonersko – zdjęcie Stalina tuż obok zdjęcia Hitlera. Nawiasem mówiąc, o Stalinie Márai napisał kiedyś w jednym ze swoich felietonów, że to najprzyjemniejszy człowiek, zwłaszcza jeśli akurat nie wiesz. Wielka szkoda, że w latach trzydziestych nie ukazał się jeszcze jeden album – ten poświęcony wyłącznie Rosji – jaka była, i Rosji – jaka się stała, Rosji Radzieckiej¹. Márai pragnął bowiem za pomocą tak wiele mówiących fotografii – zdjęć przedstawiających ostatniego cara i jego rodzinę, a także wyzutych ze wszystkiego nędzarzy, burłaków, zamachowców, studentów zesłanych na Syberię, rewolucjonistów, dzierżycieli władzy, prominentów, którzy najpierw przyjaźnie się obejmowali, a potem nawzajem wycinali, a nawet Wielki Głód i procesy pokazowe – dowieść, że na początku XX wieku Rosja stała przed szansą ogromnego skoku rozwojowego. Niestety, ostatecznie jej losy potoczyły się fatalnie w kierunku bezlitosnej bolszewickiej dyktatury, grzebiącej miliony istnień ludzkich oraz możliwość postępu i życia godnego człowieka. Jednak podobnie fatalnie toczą się ludzkie losy, gdy do głosu dochodzą kręgi zainteresowane wojną, bo ta przynosi niebotyczne profity przemysłowi zbrojeniowemu, choć oczywiście za cenę traktowania prostych ludzi jako mięsa armatniego, co podkreśla Márai w pacyfistycznej, można by rzec, *Podróży Metropolem*. Warto zaznaczyć, że podobnymi poglądami

¹ Album ten ukazał się dopiero w 1976 roku w Holandii, pod tytułem *Rusland hoe het was. Een merkwaardige verzameling foto's van 80 jaar Rusland (1852–1932)* (Rosja, jaka była. Niespotykana kolekcja zdjęć z osiemdziesięciu lat [historii] Rosji: 1852–1932). Na jego podstawie wiele lat później, dopiero w 2003 roku, opublikowano na Węgrzech tom *Oroszország Márai Sándor szemével* (Rosja oczami Sándora Máraiego).

mi, wyrażającymi najgłębszy sprzeciw pisarza wobec wojny, przeniknięta jest też inna książka młodego Máraiego: jego dziennik podróży zatytułowany *Istenek nyomában* (*Śladami bogów*), a będący relacją z wyprawy między innymi na Bliżni Wschód, do Egiptu, Palestyny, Syrii i Turcji. W istocie jest ów dziennik także surową oceną imperializmu, kolonializmu, militaryzmu i innych grzechów zachodniej cywilizacji.

Różne dokonania dziennikarskie Máraiego, a zwłaszcza regularnie publikowane felietony sprawiły, że szybko stał się on na Węgrzech bardzo lubianym publicystą. Był zarazem chętnie drukowanym i czytany prozaikiem oraz wysoko cenionym, także przez ówczesną krytykę literacką, nowelistą, twórcą bardzo płodnym, a przy tym niepozwalającym sobie na to, by zejść poniżej pewnego poziomu, nawet jeśli dany tekst przeznaczał „tylko” do gazety. Jak mawiał o sobie, był pisarzem piszącym do gazet, co zresztą stało w zgodzie z tradycją węgierskiego dziennikarstwa, któremu oddawali się rzeczywiście najwybitniejsi pisarze. Rzecz jasna, i Máraiemu zdarzały się utwory nieco słabsze – zwłaszcza wśród juveniliów znajdziemy opowiadania z pewnymi wadami stylistycznymi, uchybieniami logicznymi, niektóre jakby niedomknięte, niekiedy zaś nie do odczytania z powodu błędów drukarskich w jedynym dostępnym obecnie egzemplarzu bądź niepełne wskutek ingerencji cenzury. Tym bardziej rzuca się w oczy twórczy rozwój pisarza na przestrzeni lat, poszukiwanie swoistego dlań sposobu odwzorowywania rzeczywistości, nabieranie trwałych cech stylu, których suma złoży się z czasem na „kaligrafię” Máraiego. Jednakże z całą pewnością nawet i w tych juveniliach znajdziemy opowiadania arcydzielne, w których przy nader zwięzłej formie, oszczędnym języku, a także spełnieniu wymogów formalnych stawianych temu gatunkowi, udało się młodemu twórcy wznieść na najwyż-

szy poziom. Przykładem jest choćby ujęte w niniejszym tomie króciutkie (autobiograficzne?) opowiadanie *Mały notes II IV 19XX* – Márai zajmuje się w nim inicjacją seksualną wyrostka, pokazując przy okazji również wielki dystans pomiędzy rodzicami a dziećmi, które pozostają zdane same na siebie, zwłaszcza w kwestiach stanowiących społeczne tabu. Pisarz zwraca tu również uwagę na akceptowanie instytucji burdelu jako miejsca i sposobu wejścia w dorosłość, przy jednoczesnym bagatelizowaniu tego, że nawet dla mniej wrażliwych jednostek takie doświadczenie jest ze wszech miar traumatyczne, a tego, co tam zachodzi, niepodobna już odwrócić:

Nie byłem ani rozczarowany, ani szczęśliwy, ani zrozpaczony. Pójść do domu, pomyślałem. Położyć się. Wlepić oczy w sufit, poczytać Karola Maya. Wypić filiżankę gorącej herbaty, jak ktoś chory.

Zapłaciłem. Zabręczało na stole siedemdziesiąt pięć krajców. Maski uśmiechnęła się z wdzięcznością. Na ulicy wiatr ustał. Panował deszczowy, letnio-ciepły mrok. Okna się świeciły, rzucając miękki blask, w mieszczańskich jadalniach spożywano kolację. Ziemia parowała. Ja, ten, którym jestem dzisiaj, dotarłem do domu o ósmej. Oni siedzieli przy kolacji. „Jaka tam pogoda?” – zapytali.

Nocą leżałem w łóżku; znów zerwał się wiatr, a jego gniewne fale niosły ku mnie wyraźny płacz przestraszonego chłopca; ja, ten, którym byłem, stałem na zewnątrz na wietrze, porzucone dziecko z potarganymi włosami, i łkałem żałośnie, ale nikt nie przyszedł mi z pomocą.

Jak widać, już w młodych latach Márai pisywał rzeczy znakomite, choć te małe formy prozatorskie niewątpliwie traktował często jako literackie wprawki, „palcówki”, przygotowania do większych form, powieści, sztuk teatralnych bądź słuchowisk, wypróbowywał pomysły, rozwiązania, dopiero szlifował styl. Uważny polski czytelnik jego prozy miał już możliwość odkryć, że opowiadanie *Nagle wezwanie* z to-

mu *Magia* to w istocie kanwa dramatu *Przygoda*. I podobnie w niniejszym tomie znajdziemy wątki i postaci znane nam z innych, wydanych już i po polsku utworów. W *Wyznaniach patrycjusza* pojawia się przecież postać, której pierwszy opis jako bohatera tytułowego mamy właśnie w opowiadaniu *Ernö*. Podobnie historia ucieczki z domu, po której Márai został ukarany i wysłany do szkoły z internatem – ośmioklasowego gimnazjum katolickiego w II dzielnicy w Budapeszcie, jest przytoczona w *Węglarzach*. W *Wyznaniach patrycjusza* odnajdziemy wątek z opowiadania *Rana*, będącego niezwykle ciekawym opisem przeżyć chłopca mierzącego się z niechęcią tak nauczycieli, jak i kolegów, z wyjątkiem jednego, którego postawy nie potrafił jeszcze dostatecznie docenić. Z radością odkrywamy też, że opowiadanie *Kelemen Kőmíves* zostało przetworzone we wspomnianą powieść *Rozwód w Budzie*, co więcej, to właśnie w tym opowiadaniu natrafimy na tropy, które rozjaśnią nam zagadki wiążące się z tą powieścią, zwłaszcza emocjonalne zapętlenie głównego bohatera obu tych utworów. Dojrzały Márai pisał wszak bardziej eliptycznie, pozostawiał sporo miejsca dla wyobraźni czytelnika, tak by i on mógł współtworzyć opowieść. Najlepszym dowodem jest tu opowiadanie zamykające niniejszy tom, z kapitalnym ostatnim zdaniem: „Tak się zaczęło”, po którym w każdym z nas rodzi się od razu wizja tego, co było dalej. I podczas gdy nawet wspomnianemu już Dezső Kosztolányiemu, mistrzowi węgierskiej nowelistyki, którego Márai tak cenił i podziwiał, zdarzało się niepotrzebnie raczej dopisać na końcu tego czy innego opowiadania jeszcze jedno zdanie, Márai nauczył się większej powściągliwości i wiary w inteligencję odbiorcy, choć przecież też nie od razu: pomyślmy, jak wieloznacznym, a dzięki temu bardziej interesującym i jeszcze lepszym utworem byłaby publikowana w niniejszym tomie *Noc*, gdyby nie ostatnie zdanie. Gdyby nie było tego dopowiedzenia, można by się zastanawiać, co pomyślał, a przede wszystkim, czy w ogóle i jak żył potem główny bohater. Tak to już jest w małej prozie, acz nie tylko, że nie wystarczy ge-

nialne pierwsze zdanie, trzeba wiedzieć i to, gdzie postawić ostatnią kropkę.

Lektura chronologicznie ułożonej małej prozy Máraiego pokazuje zatem i to, że w sposób oczywisty nie był on od razu gotowym klasykiem XX wieku – stał się nim dzięki pracy i wytrwałości, otwartemu umysłowi, ciekawości wobec świata i ludzi, nieustannemu dialogowi z węgierskimi czytelnikami, a nade wszystko dzięki wrażliwości połączonej z profetycznymi zdolnościami. Stąd właśnie bardzo szerokie spektrum zainteresowań Máraiego, wielość tematów, miejsc, postaci obecnych w jego opowiadaniach, a także wielkie pytania, jakie od zawsze stawia sobie człowiek. W krótkich utworach tego pisarza, nawet i tych całkiem wczesnych, znajdujemy błyskotliwe obserwacje obyczajowe, społeczne, polityczne, przemieszane z wątkami mniej lub bardziej autobiograficznymi, mierzymy się z problemem wyobcowania, wykluczenia, z losem, przed którym nie sposób uciec. Zarazem jednak pisarz tak często zaskakuje nas – choćby w *Nieruchomości* czy *Spóźnieniu* – humorem i ironią, których raczej próżno by szukać w dziełach tworzonych przez niego pod koniec życia. Ba, Márai zdumiewa autodygresjami dotyczącymi jego własnych i jak najbardziej rzeczywistych problemów warsztatowych, co stanowi już wyjątkową gratkę dla czytelnika. Z tego punktu widzenia bardzo istotne jest opowiadanie *Podróż Metropolem* – autor opisuje tu proces powstawania pisanego właśnie utworu i przyznaje, że w pewnym momencie aktu twórczego opanowała go niemoc, z którą nie potrafił sobie poradzić. Więcej nawet: dzieli się z nami takim oto wyznaniem, że gdy utknął w opowieści i przestał słyszeć oraz widzieć swoich bohaterów, mógł być sobie poradzić za pomocą kłamstwa, zmyślania i tak czy inaczej ową historię dokończyć, ale nie chciał jej kłaść brudnymi rękoma ani dostępnymi pisarzowi narzędziami. Był przeświadczony, że musi poczekać, aż znów uchyli się przed nim zasłona życia. Wszystko

to jest w istocie opisem rozwoju samoświadomości Máraiego, procesu nabywania najgłębszej odpowiedzialności za wypowiedane słowa i nade wszystko za powołane do życia istoty, nawet jeśli są to istoty ze świata fikcji. Co prawda w opowiadaniu *Magia* (z tomu pod tym samym tytułem) znajdziemy pewne przemyślenia na temat pisania, ale trzeba pamiętać, że tam artykułuje je narrator, który niekoniecznie musi prezentować poglądy samego autora, gdy tymczasem w *Podróży Metropolem*: „Pisarz prosi o głos”. Podobnie odnotowane w felietonie *Wyciąg z czasem*, tekście włączonym do tomu *Kronika Niedzielną*, kłopoty autora pochylonego nad szczotkami *Żaru* dotyczą nie tyle samego pisarza czy jego emocji, ile raczej kwestii ulokowania gdzieś w odległym i spokojnym miejscu jednego z bohaterów tej powieści, tak żeby zmiany w świecie rzeczywistym nie stawiały tego bohatera (ani tym bardziej autora) w kłopotliwym położeniu osoby nieznającej współczesnych realiów. Podczas porównywania wspomnianych fragmentów należy przytoczyć jeszcze i kolejne zdania z owego wyznania Máraiego w *Podróży Metropolem*:

...Kompozycja się urwała; i – proszę wybaczyć – dla mnie, pisarza, to jest najmocniejsze przeżycie, odkąd w ludzkiej postaci żyję na tej ziemi. Mam jakieś takie poczucie, że to w moim życiu kamień graniczny, który w każdym życiu kiedyś się pojawia, a przy którym ja muszę się zatrzymać na dużo dłużej i przemyśleć, co mnie czeka w krainach przestrzeni rozciągającej się poza tym znakiem.

Bez żadnych wątpliwości nasuwa się wniosek, że jako początkujący pisarz Márai polegał w pracy twórczej przede wszystkim na natchnieniu, które jednakowoż nie zawsze dopomagało mu w ukończeniu zamierzonego dzieła, czego przykładem jest właśnie wspomniana *Podróż Metropolem*, z czasem zaś, gdy dojrzał jako pisarz, zdecydowanie większą ufność zaczął pokładać w kontrolującym afekty rozumie, który okazał się dlań lepszym wsparciem w procesie tworzenia.

Często podkreśla się autobiograficzny rys utworów Máraiego – i rzeczywiście, również w małej prozie znajdziemy wątki z życia samego pisarza, warto jednak wiedzieć, że winno się je traktować z niejaką ostrożnością, o czym możemy się przekonać właśnie na podstawie jego opowiadań. Na przykład *Wspomnienie z Kassy* zaczyna się od słów: „Po dwunastu latach nieobecności, pewnego jesienno dnia w końcu wybrałem się w podróż do domu, do Kassy...”, podczas gdy jest raczej wątpliwe, a przynajmniej nie znaleziono do tej pory żadnych dowodów na to, by Márai rzeczywiście odbył taką podróż do Kassy w 1924 roku, czyli dwanaście lat przed napisaniem tych słów (opowiadanie pochodzi z 1936 roku). Przytoczone wspomnienie stanowi przeto raczej projekcję odwiedzin w Kassy, nie zaś reportaż; słowem, jest dziennikiem wyobrażonej tylko podróży do ukochanego rodzinnego miasta. Podobnie też we *Wstępie do Spuścizny Bindera*¹ Márai mija się z prawdą, gdy podaje, że rozmowę z Binderem na temat zbieżności postaci Ábla, bohatera *Zbuntowanych*, z postacią owego kolegi szkolnego prowadził w 1927 roku, bo przecież pierwsze wydanie tej książki ukazało się dopiero trzy lata później – w roku 1930.

Ostatnie opowiadania Máraiego w niniejszym tomie, ale też w ogóle ostatnie, pochodzą z roku 1947 i nie jest to data przypadkowa. Wkrótce potem pisarz wyemigrował z Węgier, bo jako człowiek pryncypialny, stawiający wyznawane przez siebie wartości ponad najrozmaitszymi krótkoterminowymi profitami i fruktami, nie mógł w tamtych uwarunkowaniach politycznych postąpić inaczej. Jednak cena tej

¹ Węgierski tytuł (z czasem: podtytuł): *Binder hagyatéka* – oprócz publikowanych w niniejszym wyborze do tego cyklu należy jeszcze kilka opowiadań, włączonych przez Máraiego do tomu *Bolhapiac* (Pchli targ), oraz dwa inne utwory ze wspomnianego najobszerniejszego zbioru nowelistyki Máraiego, które wydano na Węgrzech.

decyzji była ogromna, stracił przecież dostęp do węgierskiej codzienności, skończyła się też możliwość publikacji małych form prozatorskich w węgierskich gazetach i czasopismach. Márai zaczął z konieczności tworzyć więcej krótkich dramatów i słuchowisk, które pokazywano i emitowano już nie na Węgrzech, lecz głównie w Niemczech. Zajął się także pisaniem tak zwanych powieści historycznych o zdecydowanie bardziej uniwersalnej tematyce, wydawanych najczęściej własnym sumptem i dla ograniczonego grona najwierniejszych czytelników. Ponadto przerabiał swoje dawne utwory, a przede wszystkim prowadził słynny *Dziennik*, w którym notował to, co z pewnością przetworzyłby również w małą prozę, gdyby tylko sprawy w naszej części Europy przybrały w tamtym historycznym momencie inny obrót. W *Dzienniku* z 1949 roku Márai pisał przecież, że wszystko, w co wierzył, co było mu w jakiś sposób bliskie i dlań ważne, dla czego żył, urywa się, ginie, gubi kształty i się rozmywa, on sam zaś żyje już, kierując się ku nicości, pisze w nicości, gdyż bez węgierskiego języka, węgierskiego rynku wydawniczego, węgierskich czytelników jest nikiem i niczym.

Niniejszy polski przekład wyboru opowiadań Máraiego stanowi jedynie część, acz zdecydowanie reprezentatywną, ponadtysiącstronicowego węgierskiego wydania nowelistyki i z pewnością także całego dorobku prozatorskiego pisarza. Znajdziemy tu motywy i elementy, które najbardziej lubimy w twórczości Máraiego: miłość i śmierć, życie i przemijanie, ludzkie relacje i konflikty, przygodę jako wyraz nieporządku, który prowadzi do chaosu w świecie jednostki bądź społeczności, w tym zwłaszcza rodziny. Prócz tego są oczywiście różnego rodzaju i kalibru sekrety i tajemnice, zaskakujące zwroty akcji, nieoczywiste puenty. Wszystko to Márai wydobywa z codziennych, niejednokrotnie całkiem banalnych zdarzeń, które po mistrzowsku opisuje, zgodnie z wymogami gatunku, w niezbyt obszernych, a czasem

wręcz bardzo krótkich tekstach, wywołujących w czytelnikach głębokie emocje i skłaniających ich do własnych przemyśleń, dzięki czemu na długo zapadają w pamięć.

Na koniec warto jeszcze wyjaśnić, że tytuł niniejszego tomu to zarazem tytuł jednego z opowiadań, ale – jak to zwykle bywa z węgierskimi tytułami – i w tym przypadku sprawa jest skomplikowana. Węgierskie określenie *régi* oznacza tyle, co „stary, dawny” (bez rozróżnienia rodzaju, którego w języku węgierskim nie ma), *szerető* zaś to „kochanek, kochanka, ukochany, ukochana” (znów bez rozróżnienia rodzaju), a zatem tytuł *Régi szerető* można by przełożyć na przykład jako *Dawnego kochanka* albo *Dawną kochankę*, *Dawnego ukochanego* albo *Dawną ukochaną*, w języku polskim zawsze z konieczności ze wskazaniem mężczyzny albo kobiety. Można by też ewentualnie wrzucić ich do jednego worka jako *Dawnych kochanków*. U Máraiego występuje jednak celowa dwuznaczność co do osoby – czy ma to być mężczyzna czy kobieta. Dodatkowo po przeczytaniu całego tekstu rodzi się podejrzenie graniczące z pewnością, że opisanej tam sprawy nie sposób załatwić określeniem *kochanek* (albo *kochanka*), *ukochany* (*ukochana*), ponieważ idzie tu z jednej strony o coś bardziej skomplikowanego, a z drugiej o coś więcej, co być może dopiero po czasie dochodzi do świadomości samych bohaterów. To dlatego ostatecznie zdecydowałam się nadać temu opowiadaniu tytuł *Stara miłość* i zarazem wykorzystać go również dla całego wyboru opowiadań, jako zwrotu podkreślającego ponadprzeciętną więź łączącą człowieka z człowiekiem, a też znakomicie oddającego mój – i jak ufam, wielu czytelników – stosunek do Máraiego i jego twórczości.

Irena Makarewicz

1916–1927

Syn Lukrecji

Dom stał bezpośrednio obok cmentarza i miał niewielki ogródek odgradzony palikami. Było lato, rozżarzone, skwarne lato. Przy cmentarnej bramie pełniły straż dwie dzikie jabłonki, tak obciążone złotobrazowymi owocami, że aż ugięły się ich gałęzie. W oddali, na polach obsianych owsem, falowały żółte łany, a na łąkach widać było kwiaty, mnóstwo białych kwiatów. Dom zbudowano z bali, południową jego ścianę gęsto zarósł zielony powój, a komina nie miał wcale – dym z patriarchalną prostotą wydobywał się wprost spomiędzy zdezelowanych szarych gontów. Z tego powodu, jeśli w kuchni rozpalano ogień, dymiący dach stwarzał takie wrażenie, jakby ten drewniany dom przy cmentarzu nieustannie był trawiony przez pożar.

Malarz powiedział, że dom jest idylliczny i artystyczny, dziennikarz zaś, że jest spróchniały i brudny. Ale cmentarz przeważał szalę na rzecz opinii malarza.

– Wspaniale, rzeczywiście... – entuzjazmował się teraz już i dziennikarz. – Będziemy żyli i spali w sąsiedztwie umarłych. Tłum cichych ludzi... Zostajemy tu.

W domu mieszkali stara kobieta i cztero-, pięcioletni chłopiec. Kobieta – Fatima, tak poetycznie się nazywała – była stara i straszliwie brzydka. Paliła fajkę albo żuła tytoń i hodowała warzywa w ogrodzie. Załatwili sprawę z użyciem niewielu słów, malarz dla przyzwoi-

tości nawet się targował, i jeszcze tego samego dnia się wprowadzili. Dom był podzielony w środku cienkimi deskami na trzy części. Większa izba miała piec i okienko na cmentarz – tę wybrali sobie na mieszkanie i miejsce do spania. Drugie małe pomieszczenie mianowali łazienką i wstawili tam gumową wannę oraz balijkę. W kuchni zaś mieszkała Fatima z chłopcem. Ściany i podłogę u siebie w pokoju przybysze ciasno pozakrywali kocami z wielbłądziej sierści, wnękę mieszczącą piec wypełnili aż po dźwigar książkami dziennikarza, a potem malarz – ku największemu zdziwieniu Fatimy – zawiesił w kuchni trzy szkice i powiedział, że oświetlenie jest pierwszorzędne. Choć w kuchni panowała ciemna noc.

Tak oto się urządzili. Szło już na południe, skwar sprzął drewniany dom, ale koce z wielbłądziej sierści utrzymywały wewnątrz w relatywnym chłodzie. Na obiad zjedli konserwy, bo do wiktu Fatimy nie mieli na razie przesadnego zaufania. „Trzeba by staruchę wykąpać...” – powiedział po obiedzie dziennikarz, w zamyśleniu, po czym położył się i spał bez przerwy do godziny piątej po południu. Malarz przez jakiś czas krzątał się po mieszkaniu, aż w końcu chwycił hełm korkowy i wyszedł na podwórko. Łaziła tam Fatima, usuwała motyką chwasty z warzyw.

– Hej, *duenna*¹!... – zawołał malarz. – Znajdź mi jakiegoś dzieciaka, który zatarga te rzeczy...

Fatima splunęła i przybliżyła się do malarza, zgarbiona. Była, biedaczka, brzydka, wręcz odrażająco brzydka, malarz po raz pierwszy dobrze ją sobie obejrzał. Była

¹*Duenna* (hiszp.) – dawniej ochmistrzyni na dworze królowej hiszpańskiej; tu: starsza kobieta.

najbrzydszym dzieckiem matki ziemi w tej wysuszonej spiekotą okolicy. Była niechlujna, pomarszczona i brudna, ale jak przystało na osobę dobrze ułożoną, tłuste włosy przygładziła dłonią do skroni i typowym dla starej kobiety niskim głosem powiedziała:

– Daj no tutaj, *domnule*¹, ja to poniosę... Może z nami pójsć mój wnuczek, prawda?... Matyej, hej, Matyej...

Z szopy wychynął umorusany szczeniak. W płóciennnej koszuli, gaciach, obwiązany szerokim pasem i w kapeluszu przypominającym kształtem grzyb był miniaturowym wołoskim gospodarzem. Oczy miał czarne, odważne, błyskające, a twarz ostro zarysowaną. Podszedł chyłkiem do babki, złapał ją za spódnicę i mrugając oczami, ślepił się na malarza w korkowym hełmie.

– Chodźmy... – mruknął malarz.

Poszli w kierunku łąki rozkwitłej na biało, poprzez pola owsa tu i tam czerwieniące się makami. Ponad żółtym zbożem kołysały się, drżały wielkie błękitne słupy gorącego powietrza. Postępowali wąską drogą, w białawym kurzu, oczy mieli osłepione od migoczących wzdłuż drogi kamieni łupkowych, a przed nimi włókł się w tym kurzu i słońcu leniwy biały pies, jakby omdlewający. Nieśmiały wzgórek nie ustępował na horyzoncie niebu, na prawo zaś, za polami owsa, stał rząd przywiędłych jabłonek. To tam podążali.

Ulokowali się w niewielkim cieniu. Malarz ocierał pot i wzrokiem, w którym pobłyskiwał głód artysty, wpatrywał się w okwiecone pole. „Potrzebowałoby tła...” – mruknął w końcu i rozpiął płótno.

Malował, pracował z coraz większym zapałem, chciał uchwycić dystans i rozedrgane powietrze. Fatima i jej

¹*Domnule* (z rum.) – proszę pana.

wnuczek przycupnęli u jego nóg, ani pisnęli. Malarza aż głowa bolała od tego skwaru, jednakże powietrze w żaden sposób nie chciało drgać na obrazie.

– Fatimo... – rzekł głosem zachrypniętym od kurzu, pragnienia i chęci zemsty i zrobił z dłoni daszek, żeby ochronić oczy – widzę tam, o, studnię, słyszysz?! Na, masz tu papierowy kubek, przynieście wody.

– Stamtąd nie, *domnule*. To martwa studnia, leży w niej trup.

– Co za trup?

– Moja ukochana córka, matka mojego wnuka, wierzona żona swego męża tam się zabiła, *domnule*. Moja ukochana jedyna córka.

Malarz rzucił pędzel na ziemię i z zainteresowaniem przysiadł pod drzewem.

– Matka Matyjeja?

– Ona, proszę pana, ona... to już dwa miesiące, o mój słodki Boże. Była najpiękniejszym kwiatuszkiem we wsi, najładniejszym ze wszystkich róż. Jej mąż junak poszedł do wojska, już blisko rok temu. Potem przyszli do wsi ruscy jeńcy, orali, pracowali ci ruscy jeńcy. Do nas też przysłano ich czterech, no i tak doszło do tego wielkiego nieszczęścia. W nocy słyszę wrzask od strony stogów, biegnę tam, a oni tam rechotali, bezbożnicy, a moja córka, moja ukochana córka, z wrzaskiem, w porwanej sukience przygnała ku mnie... „Ojej, mój skarbie – mówię – co ci się stało?” „Pohańbili mnie, matko, ja się rzucę do studni, ojej, mój ukochany mąż!” Tak bardzo płakała, biedaczka. I pobiegła tam, jeszcze wtedy nocą, ej, *domnule*... Tam się zabiła, do tamtej studni skoczyła. Jej mąż jeszcze i dzisiaj o tym nie wie. A mnie został tu ten szkrab... Bo była cnotliwa, moja biedna duszka, niczym lilia. We wsi to już nawet i piosnkę ułożyli o niej.

Malarz palił fajkę i rozmyślał.

– To jej syn? – zapytał, pokazując palcem Matyeja.

– Tak.

– Hm!...

Malarz coś pomrukiwał, spoglądał w kierunku studni, a także na chłopca. Dzieciak obojętnie gapił się przed siebie i zabawiał kamykami. Od przywołanych wspomnień Fatima zaczęła popłakiwać i wycierać sobie spódnicą łzy z matowych oczu, malarz zaś przyglądał się im obojgu, zmieszany.

Z malowania nic a nic już nie wyszło, zwinęli płótno i nieśpiesznie powrócili do wsi.

Wieczorem palili fajki przed domem. Dziennikarz i malarz. Była pełnia księżycy, ale niebo stało zachmurzone; przy wejściu na cmentarz jaśniały dwa białe słupy bramy, aż świeciły na ciemnym tle; temu to przyglądał się dziennikarz, nieco melancholijnie, lecz – po raz pierwszy od dawna – z uczuciem cichego szczęścia. Trochę to dziwne, ale tak w duszy obaj byli prostymi, ubogimi, chorymi młodzieńcami bez znaczenia. Dziennikarz jeszcze sześć miesięcy wcześniej pluł krwią, wtedy to koledzy na wspólny koszt wysłali go nad morze, żeby pogapił się na fale i pozażywał kąpieli w słonym powietrzu. Potem mu się poprawiło, jednakże jeszcze i teraz nie mógł pracować, zmęczenie i mdłości dręczyły go w całym ciele, we wszystkich kończynach, a też na duszy przykulił mu się jakiś taki leniwy, głupi potwór z rozpostartymi skrzydłami, który rodzi się w powietrzu trawionym rozpaczą i dymem, gdy noce się dłużą, a człowiek nie może zmrużyć oka. No więc posłano go tu na wieś, żeby stał się „dziecięciem natury”, żeby spijał słońce. Malarz zaś popadł w chorobę przez wojnę. Wybrał się bowiem w podróż na pole

bitewne, malować obrazy batalistyczne, ale gdy tylko pewnego razu odważył się wyprawić na front, doznał w trakcie nocnego ataku lekkiego szoku nerwowego. Poza tym obaj byli nieco smutnymi, lecz bardzo dobrymi chłopcami. Teraz siedzieli przed domem w ten cichy, spokojny, letni wieczór na wsi. Malarz wpatrywał się w księżyc, a dziennikarz przyglądał się cmentarnym topolom, które rzucały mroczny cień.

– Słuchaj – zaczął malarz – Lukrecja w dwudziestym wieku. Córka naszej gospodyni...

– No! – Dziennikarz aż się wzdrygnął.

– Rzuciła się do studni i zabiła, bo pohańbili ją ruscy jeńcy.

– Nie mów.

Milczeli. Dziennikarz nieco się zdumiał, czuł jednak jakieś sprawiające mu przyjemność mrowienie w całym ciele – informacja przekazana przez malarza wpasowała się w ten wieczorny nastrój z księżycem, topolami, cmentarzem w tle.

– Ależ tak... – mruknięciem potwierdził malarz – a jej syn... Bo ma ona i syna, ta biedna nowoczesna Lukrecja... wiesz, ten szczeniak o czarnych oczach, Matyej czy jak go tam wołają... No więc to on. Ciekawe, co?!... Dusza ludu. Co?...

– Ma syna?

– Dziwne to, słuchaj. Żeby dzisiaj z tego powodu jakaś mężatka... Widzisz, przyjechaliśmy na sam koniec świata, ale i tu są tragedie. One są wszędzie. Życie jest jak fala, tajemnicze, co zrobić, nie znamy go... Nigdy go nie poznamy. Nie tylko u nas, tam, w Babilonie, ludzie się męczą, miotają... W tym naszym świecie... Niepokazne, liche, instynktowne tragedie. Jęki. A tu, w tej okolicy na całego idzie ta... gra. W największej skali.

Najwyższa stawka: śmierć. Miałbyś odwagę tak zrobić? Prawda, że nie? Lukrecja miała. Jej było łatwo, zostawiła tu syna... Wojna!... Ajajaj, kolego, to już inny świat!...

Milczeli, w końcu się podnieśli i weszli do domu. Trzeba było przejść przez kuchnię – na zabrudzonej ścianie pełgał płomyk w olejowym kaganku, przy oknie stało wypiętrzone pierzynami łóżko. To tam spali Fatima i Matyej. Malarz podszedł do łóżka, wspiął się na palce i skinieniem ręki przywołał do siebie również dziennikarza: z brzegu łóżka spał mały Matyej, głowę miał przechyloną w bok, buzię otwartą, ręce szeroko rozłożone. Malarz pochylił się nad nim i szepnął:

– *Ecce*: syn Lukrecji!

Przeszli do drugiej izby i cicho zamknęli za sobą drzwi. Ale długo jeszcze nie zasnęli.

Byli tam już trzy tygodnie, dziennikarz nabrał oliwkowej karnacji jak jakiś Malaj. Obaj zresztą wspaniale zbrazowali w tym drogim, gorącym słońcu, ich mowa stała się odważniejsza i spokojniejsza, w sercach zaś rozlała się jakaś barwna, falująca lekkość.

– Słońce, drogie słońce!... – mówił dziennikarz, otwierając usta w wyrazie uwielbienia dla słońca. Jak dzień długi, chodził po łąkach, pomiędzy zasiewami o słomkowej barwie, odpoczywał u podnóża lasów, uspokajał swoje kołaczące, nerwowe, szalone, złe serce. Czytał Rousseau. Malarz poniechał nadziei na pracę, zasłonił wnętrze, spał w chłodnej izbie, pił wielkie kubki zsiadłego mleka, krajał do niego czarny żytni chleb prawdziwym chłopskim scyzorykiem za trzy krajcary. Teraz już, skoro bezczelnie załatwili sobie liche zdrowie, oddali się zabawie. Naiwnie, w nieco wymuszony

sposób, w dobrych humorach bawili się w „życie w jaskini”. Zorganizowali sobie brzydko pachnące, szerokie, skórzane pasy oraz kierpce, a pewien świniopas pozwolił im, za trzy forinty, przez trzy dni popilnować świń opodal wierzby. Przy końcu trzeciego dnia już ich znudziła ta rozrywka, ale z przyzwoitości wytrzymali. „Nigdy więcej!... Świnie też śmierdzą. W tych okolicach wszystko śmierdzi!...” – upierał się dziennikarz, kiedy skończyła się heca z pilnowaniem świń. Wykąpali się po niej w wodzie kolońskiej i milcząc ze wstydu, włożyli swoje europejskie ubrania.

Pewnego wieczoru przyszli do nich ze wsi ludzie, przerażeni wieśniacy w charakterystycznych portkach, i powiedzieli, że z sąsiedniej góry słychać strzały z dział. Są tu w okolicy walki. Ta wiadomość podziałała niczym uderzenie pioruna. Tamtej nocy nie spali i tak oto zakończyło się ich spokojne, niczego nieświadome, błogie życie. Wojna! W gorącym, omdłym, sennym skwarze lata leniwymi skrzydłami zaszumił wielki, przeraźliwy, pracy naprzód, okrutny ptak, którego niepodobna zatrzymać. Dnie stały się upalne nie do zniesienia, na sercach zaległa przykuwająca oczy, nieznana ołowianosc, cisza osłabła przed burzą. Teraz już pielgrzymowali przez cichą wieś żołnierze, dudniły ciężkie działa, wlokły się przykurzone, omdłe od upału kolumny ludzi. Jednej nocy malarz i dziennikarz weszli na tamtą górę, o której im mówiono, a za nimi poszli wielkim tłumem ludzie ze wsi. Nasłuchiwali: w cichej, dość ciepłej letniej nocy głucho dudniły dalekie działa, przypominało to krótki żałobny warkot bębna przykrytego czarnym sukniem. Po jednym i drugim mocniejszym huku kobiety i dzieci zaczęły piszczeć, wrzeszczeć. Aż potem – w nagłym, oniemiałym przestraczu – znów

zamilkły. Dziennikarz przyłożył dłoń do czoła, jakby robiąc daszek dla ochrony oczu, i tak oto wpatrywał się w ciemną noc: na horyzoncie, całkiem u spodu mrocznego nieba, ciągnęła się niewysoka czerwona smużka, jak kiedy na scenie w teatrze poruszy się nieco w bok czerwona aksamitna draperia, a spod niej błysnie purpurowe światło reflektora.

– Musimy wracać!... – następnego ranka zdecydowanie oznajmił malarz. Dziennikarz wcale się nie odezwał, apatycznie, bez humoru wzruszył ramionami i pozwolił, by malarz zaczął pakować rzeczy. Zdawało się, że wieś, ludzi i dusze przeszył jakiś nerwowy dreszcz; przed przycementarnym domem całymi dniami turkotały ciągnięte przez woły, wysoko załadowane wozy, na których w niedbałym chaosie mrowiły się szafy, pierzyny w poszewkach w czerwone paski, sita, pługi, kobiety i dzieci, wozy zaś spokojną kolumną, powoli toczyły się naprzód oświetloną słońcem szosą.

Do wieczora wszystko już spakowali, malarz za równość mniejszego majątku zdobył nawet wóz, który miał przyjechać rano. Ostatniego wieczoru jeszcze raz, ostatni, usiedli przed domem.

– To było bardzo miłe, te trzy tygodnie – powiedział malarz – to wszystko, tak jak było, razem z tym cmentarzem, samotnością, świniami, Fatimą i skwarem, to było bardzo miłe i oryginalne. Bez mała żal mi to tutaj zostawiać. Zdecydowanie się tu odnalazłem.

Dziennikarz machnął ręką.

– Mnie jest żal zostawić tu Lukrecję. Lukrecję oraz jej syna: Matyeja. Nawet nie wiesz, jak bardzo mnie ta sprawa emocjonowała. Lukrecja... Ileż to razy wychodziłem do studni i zapuszczałem wzrok w brudną, mętną wodę; wyczekiwałem, szukałem Lukrecji. Wmó-

wielem sobie, że cała ta okolica to tylko ramy – ludzie, niebo, ziemia, studnia – wszystko to tylko ramy, z których z godnością i smutkiem wystąpi niewyraźna postać kobiety: Lukrecja. O tym trzeba by napisać epos albo klasyczną bajkę. No i jeszcze jedno: jej syn. Co będzie robił syn Lukrecji? Jaka duszę ma współczesny szczeniak współczesnej Lukrecji? Czy czuje, kim była jego matka, czy wie, że i on winien uczynić coś niesamowicie wielkiego, wstrząsającego, odważnego, heroicznego, coś, od czego zdrzży to nasze smutne złe serce?... Przy tym temacie fantazja i serce winny działać jednocześnie. Jeśli teraz wejdą do wsi Rosjanie, dziecko klasycznej Lukrecji może by im podpaliło dach nad głowami, tym barbarzyńcom zakwaterowanym tu w lichym drewnianym domku. Ale co uczyni syn współczesnej Lukrecji? Co? Jaka jest ta nowa latorośl?...

– Matyej, chodź tu!... – zawołał malarz do wnętrza domu. Szczeniak wychynał na dwór. Ssał palec i nieśmiało szczyrzył zęby do gości.

– Tobie matka odumarła, zabili ci matkę! Wiesz o tym?... – zaczął dziennikarz.

Dzieciak coś mruknął.

– No, wiesz ty o tym? – krzyknął na niego ze złością.

– T-tak!...

– No i co ty zrobisz?

– N-nic...

– Dostaniesz szóstaka, jeśli ładnie powiesz, co zrobisz...

Matyej uśmiechnął się szeroko i nadstawił garść:

– Wpierw ten szóstak.

– Masz. No więc, co ty zrobisz, jeśli tu wejdą Rosjanie?

– Hi, hi... Kupię cukierka i ucieknę...

Zaśmiał się w głos i uciekł. Dziennikarz ocierał czoło chusteczką. Malarz wybuchnął śmiechem.

– No widzisz. Ano właśnie. Ta nowa latorośl. Praktyczna, realistyczna, zmyślna, wytrwała. Mimo wszystko – nie mówię – może nie jest ładnie, że tak to jest, ale takich właśnie potrzebuje przyszłość. Bić się, stawiać opór. Teraz nie czas na sentymenty, dekoracje z marzeń i ze snu czy klasyczne bajki. Ale z tobą – jak się wydaje, mój drogi – z tobą znów jest coś nie w porządku. Znów ta stara śpiewka. Co?...

– Przestań... – prychnął dziennikarz.

– A przecież teraz, mój drogi, nadchodzi nowy świat i w tym nowym świecie wy stale będziecie mieli pecha. Teraz nadchodzi technika, budowanie!... Żelazne trawersy, siły, energie, pola promieniowania i inne... Poświęta księżycyca widoczna z okna kawiarni?... Nie, to się skończyło. I nawet dobrze, że się skończyło.

Rano wyjechali. Teraz już całkiem wyraźnie słychać było huk dział, nie zagłuszył go nawet turkot pojazdów, i rozciągała się mgła, gęsta, kłębiąca się mgła, ledwie było widać na kilka kroków, a tym bardziej nie dało się sięgnąć wzrokiem tam, gdzie w oddali stała studnia Lukrecji.

Po szesnastu latach nieobecności, pewnego dość ciepłego i słodko promiennego jesiennego popołudnia przyszedł na górę do mojego pokoju Ernó, położył kapelusz na krześle i cichym, obojętnym tonem zapytał:

– Jest w domu twoja matka?

Ja byłem wtedy dużym szesnastoletnim wyrostkiem, ale obserwowałem już życie. Ernó nigdy nie widziałem – wyjechał, gdy się urodziłem – jednakże od czasu do czasu mówiło się o nim w domu, ja zaś z charakterystycznym dla dzieci wyrafinowanym zaciekawieniem, a potem z wynikającymi z powierzchownej wiedzy podejrzeniami wielokrotnie zastanawiałem się nad jego wizerunkiem i go sobie szkicowałem. Za podszeptem niewytłumaczalnego uczucia, ze zdziwieniem i nieco nieśmiało zawołałem:

– Ernó!...

– Tak! – odpowiedział naturalnie i spokojnie, zdjął binokle, przetarł je, zapalił papierosa, długo wydmuchował przed siebie dym i zapuszczał za nim wzrok. Przyglądałem mu się lękliwie i nieśmiało. Na jego olbrzymiej postaci smutnie wisało monotonna szare ubranie podróżne. Kołnierzyk i mankiety miał czyste, lecz wystrzępione od wielokrotnego prania, buty były porządny, nieco znoszonym niemieckim wyrobem, do tego miał jeszcze przypinany dwustronny krawat,

bladą, zmęczoną twarz, grubawe i nieco krótkie ręce oraz zarysowany już brzuch. Wszystko to było bardzo nuworyszowskie i zwyczajne, a on ani odrobinę nie przypominał tamtego meksykańskiego generała, który w berecie przyozdobionym piórem i z setką uzbrojonych po zęby brygantów miałby do nas wmaszerować – bo tak właśnie wyobrażałem sobie Ernő. Nie, Ernő tego nie zrobił, za to siedział w fotelu z zamkniętymi oczami, zmęczony i znudzony, i po długiej – dla mnie nadzwyczaj kłopotliwej – pauzie cichym, nieco wzruszonym głosem powtórzył pytanie:

– Jest w domu twoja matka?

– Tak! – odpowiedziałem niezdarnie, ale oto nadeszła już ona sama. Zaszlochała i nastąpiła scena obejmowania się, co dla mnie – i jak sądzę, również dla Ernő – było bardzo krępujące, a potem przyszedł czas na mnóstwo pytań, na które on tym swoim monotonnym, apatycznym głosem udzielał mocno lakonicznych odpowiedzi. Później zeszedliśmy do ogrodu, pokojówka nakryła stół pod lipami, ale nawet biały obrus, błyszcząca porcelana, srebra i kryształowe karafki nie rozchmurzyły Ernő. Siedział nieporadnie, dziecinnie nieruchomo, z oczami wbitymi w jeden punkt, niekiedy wyjmował chusteczkę i ocierał nią spocone od upału czoło. Było ciepłe, wrześnieowe popołudnie, nieco już zmierzchało, słońce raz jeszcze, na pożegnanie obrzuciło żarzącymi się złotem promieniami ogród, ścieżki wysypane białym żwirem, platany; pelargonie zaś, bezsilne i omdlałe, zwiesiły głowy. Piliśmy chłodną herbatę, ja ulokowałem się w pobliżu półmiska z kanapkami i teraz już czułem się bardzo dobrze. Kapałem się w promieniejącej harmonii tego ciepłego popołudnia, herbaty, obecności Ernő oraz całego tego przypadkowe-

go nastroju. Milczeliśmy, Ernő uderzał laską w kamyki i patrzył gdzieś przed siebie. Później ogrodnik puścił wodę z gumowego węża, pryskała ona teraz w drugim końcu parku, zmniejszył się też upał, wszystko jęło się ożywiać. Wtedy to moja matka wstała, podeszła do Ernő i wyrażającymi miłość, bezgranicznie delikatnymi ruchami zaczęła go głaskać po srebrnawych, rzędniejących włosach.

– Właściwie to dlaczego wróciłeś?

To pytanie zadała moja matka, a następną, przepelniona szlochom chwila na całe życie ścisnęła mnie za serce. Ernő nieco się podniósł, twarz wykrzywiła mu się w grymasie, całe ciało zadrżało, oczy szeroko się otwały i znieruchomiały, a z półotwartych ust wyraźnie odczytałem odpowiedź, której nie wymówił... Potem jakiś rozpaczliwy wysiłek: nie, nie, ależ nie, mimo wszystko nie to!... Siedziałem na moim miejscu w odrętwieniu, z opuszczonym wzrokiem, wstrzymując oddech. To wszystko trwało jedynie chwilę, ale ta chwila bolała, szarpała się konwulsyjnie, wybuchł z niej płacz tonącego ducha nieudanego, pogrzebanego, genialnego życia... Mówię, trwało to tylko chwilę. Potem znów nastąpiła cisza, Ernő się uspokoił, opuścił z powrotem na swoje miejsce, a po krótkim milczeniu odezwał się pokornie, nieśmiało:

– Nie będę wam ciężarem?...

Moja matka odpowiedziała jedynie spojrzeniem przepelnionym wyrzutem. Później zeszli też dwaj moi mali braciszki, a on nieskładnym, ale nadzwyczaj czułym gestem pogłaskał ich po jasnych główkach i z jakąś groteskową, czarującą niezdarnością wyjął z kieszeni dwie papierowe torebki. Spojrzał na moją matkę, zmieszany, i zapytał:

– Wolno, prawda? Trochę cukierków...

To słowo – „cukierków” – zabrzmiało tak obco i wzruszająco. Chłopcy, pośród głośnych wrzasków, odbiegli z łupem. Potem towarzystwo nieco się ożywiło, matka mówiła o maluchach, a także o mnie, Ernő zaś słuchał jej z wysiloną uwagą, czego ona w ogóle nie zauważyła. Z dumą pokazała odgradzone drucianą klatką stado drobiu, które było jej własnym przychowkiem, oraz grupki rabatek.

– Co powiesz na moje pelargonie? Ładne, prawda?

– Tak... – z ociąganiem odpowiedział Ernő. – Zresztą, czy ja wiem... Ta pelargonie to taki kwiat starej panny...

To powiedział po niemiecku, bo muszę zaznaczyć, że cała konwersacja toczyła się po niemiecku, po węgiersku mówił tylko ze mną i z moim młodszym bratem, a miał obcy, nieco komiczny akcent. Jego ostatnia uwaga znów wzbudziła lekką niechęć. Moja matka była dumna ze swoich kwiatów i każdemu miała za złe, jeśli ich nie chwalił. Przed wieczorem wrócił do domu również mój ojciec, który polował z wyzłami na łąkach. Znów zaczęło się obejmowanie i zadawanie pytań. Tego dnia wcześniej zjedliśmy kolację, wyjątkowo nie mieliśmy gości, po kolacji zaś usiedliśmy na ganku z kolumnami, które podtrzymywały dach, i mój ojciec zaproponował Ernő wypicie kieliszeczka. Był rozgwieżdżony, ciepły, jesienny wieczór.

– Dziękuję, ale nie... – odparł Ernő i rozłożył ręce. Całymi minutami stał tak, bez ruchu, patrzyliśmy nań już wręcz ze zdumieniem. – Jestem zmęczony... Margit, proszę cię – zwrócił się do mojej matki – pokaż mi mój pokój.

Matka wzięła świecę i po pożegnaniu się ruszyli we dwoje długą, przeszkloną werandą. Ona szła z przodu,

Ernő za nią, ich cienie, błakając się i chwiejąc, rozciągnęły się po oświetlonej białej ścianie. Na końcu korytarza znajdowały się drzwi do pokoju gościnnego, a my we dwóch, ja z ojcem, uważnie patrzyliśmy za nimi, aż on, skłoniwszy przed niskimi drzwiami swoją ogromną postać, zniknął w pokoju.

...Mówię, uważnie patrzyliśmy, kiedy naraz nasze spojrzenia się spotkały, a my, zmieszani, zawstydzeni, spuściliśmy wzrok. Ojciec szorstko, ze złością w głosie rzucił:

– Uciekaj spać! Już późno.

Była dopiero godzina dziewiąta, cicha, jasna, wrześniowa noc, a innymi razy nie miał nic przeciw temu, gdy nawet i do północy pozostawałem z towarzystwem grającym w karty. Ale nie bardzo się sprzeciwiałem, pocałowałem go w rękę i poszedłem do swojego pokoju. Czułem, że dzisiaj dzień jest jakiś inny, bardziej szczególny niż zwykle.

Dotarwszy do pokoju, otworzyłem okno, szybko się rozebrałem i położyłem do łóżka. Moje okno wychodziło na korytarz, słyszałem, jak matka potem wróciła i zaczęła z ojcem szeptać. Później, gdy moje ucho przyzwyczało się do ciszy, wyraźnie rozumiałem, co mówili.

– I dlaczego? Co robił? Dlaczego wyjechał? – pytał ojciec.

Matka westchnęła.

– Wiesz, jak nieszczęśliwa jest historia naszego dzieciństwa. Ernő miał trzy lata, ja cztery, gdy zostaliśmy sierotami. Po moim biednym ojcu nic nie zostało, rodzina wysłała trzyletnie dziecko w towarzystwie niańki do Grazu, do zakładu opiekuńczego dla dzieci. Ja miałam utrzymanie w domu mojej starszej siostry. Ernő zaś wyrastał tam daleko, od wieku trzech lat powierzony opiece obcych, opłacanych ludzi, służby, nigdy żadne-

go słowa przenikniętego intymnością, takiego od serca, nigdy żadnego przytulenia wyrażającego miłość... Rodzina co miesiąc punktualnie posyłała opłatę za utrzymanie, a dyrektor placówki co pół roku w krótkim liście donosił o stanie zdrowia Ernő. Tam odebrał edukację, a po maturze wrócił do domu – był odchowanym, silnym, dużym chłopcem, przepięknie grał na fortepianie, znał się, by tak rzec, na wszystkim. Ale w domu nie wiedzieli, co z nim począć. Zdecydowali, że oddadzą go do wojska... Nie sprzeciwiał się. Szkołę oficerską ukończył w randze podporucznika, miał ledwie dwadzieścia lat, i sam też zaczął żyć tym lekkomyślnym, banalnym życiem, jak jego koledzy, co sprowadza się do koni, sportu i kobiet. W domu mieli mu to za złe. Pokłócił się z nimi, odszedł by mieszkać na własnym. Był człowiekiem porywczym, wybuchowym. Kiedyś kapitan, któremu podlegał, zganił go za jakiś służbowy błąd, a on wpadł w gniew, uderzył kapitana w twarz, napisał list do ministra do spraw wojny, przyszedł do mnie, pocałował mnie i powiedział: „Żegnaj, Bóg z tobą, Margit...” – i z tymi słowami odszedł. Przez sześć lat nic o nim nie słyszeliśmy. Mówi, że był muzykiem w Niemczech, zawsze zresztą miał szczególnie talent do muzyki... To genialny chłopak, włada sześcioma językami... A teraz wrócił...

– Dlaczego wrócił? – zapytał ojciec.

– Nie wiem... Myślę, że jest chory. Nigdy nie miał zdrowego serca... Przyjmij go z łaskawością, staruszk...

– Oczywiście... – cicho odrzekł ojciec. Potem długo jeszcze szeptał, ale nie słyszałem co, bo zasnąłem.

...Następnego dnia, na trzeci dzień i jeszcze tak mniej więcej przez dwa tygodnie nie wydarzyło się nic szczególnego, Ernő żył pośród nas, cicho, nieco obojętnie,

i tylko ja, który spędzałem z nim najwięcej czasu, z każdym dniem coraz bardziej się weń wpatrywałem i go podziwiałem. Na wszystkim się znał. Jeśli byli u nas goście – z reguły ksiądz, lekarz i adwokat, ale czasem przyjeżdżał do nas z Budapesztu także jeden i drugi aktor bądź artysta z grona naszych znajomych – siedział cicho wśród nas i tylko z rzadka uczestniczył w konwersacji, ale jeśli coś powiedział, każdemu zapierało dech. Księdzu wytłumaczył kiedyś dogmaty wszystkich religii, w tym również rozgałęzione na tysiące linii, zagniatwane kredo Chińczyków, Hindusów, braminów i Bóg jeden wie, jakich ludów Indii, a poszczególne ważniejsze tezy podał jeszcze nawet i w tamtejszym języku, hindi. Zaczny, stary, wiejski ksiądz gapił się nań zgoła skamieniały. Adwokatowi udzielił rad w kwestii prawnej, bez książki zacytował odpowiednie paragrafy. Lekarzowi – który wyznał, że od 1887 roku, kiedy otrzymał dyplom lekarza, nie brał do ręki fachowej książki – wymienił, podając naukowe nazwy, wszystkie choroby, mikroby i bakcyle, które odkryto od tamtej pory, ba, wyłożył też metody ich leczenia. Raz byli u nas dwaj tenorzy i jeden z nich poskarżył się, że nie może ukończyć przygotowań do roli na kolejny sezon, bo dyrygent wyjechał i zapomniał wydać partyturę *Lohengrina*, a on miałby w tej operze śpiewać główną rolę. Ernő nic nie powiedział, zamknął się w swoim pokoju, wyjął papier nutowy i przez jedną noc, z głowy, spisał całą tę partyturę. Kiedy rankiem tenorzy wsiedli do powozu, żeby wyjechać, z uśmiechem wręczył ją śpiewakowi. Ten nieomalże wypadł z powozu, zemdlony.

A mimo to było w jego zachowaniu coś osobliwego, zagadkowego i obcego. Choć starał się, biedak, być bezpośredni i przyjazny. Zwłaszcza względem mnie.

W tamtym czasie byłem zakochany w pewnej dziewczynie imieniem Vilma i pisywałem złe, liryczne wiersze, prócz tego naszpikowane frazesami i pozami niezdarne nowele, a w nich na każdej stronie występowało dwóch hrabiów, kałuża krwi, biały ogier i polna lilia. Hrabio- wie nosili zazwyczaj imię Olivér. Oczywiście, bibliote- ka mojej matki składała się z dzieł, których autorką by- ła Lenke Bajza Beniczkyne, te właśnie książki czytałem i pod takim wpływem rozwijała się też moja fantazja. Ernő poprosił raz o moje rękopisy, bez jednego uśmie- chu przeczytał od początku do końca sentymentalne i złe wiersze, naszpikowane hrabiami i białymi końmi nowe- le, a potem zrobił mi długi wykład na temat literatury. Nie pamiętam już dokładnie, co mi mówił, wiem tylko, że na koniec wcisnął mi do ręki książkę i powiedział: „Tak pisz! Zapamiętaj sobie, że samym zapachem bzu niczego na świecie nie osiągniesz. Dużo się ucz, bardzo dużo. Przeczytaj tę książkę, a zobaczysz, jak powinna wyglądać dobra powieść. Musisz być dobrze przygoto- wany, mieć dobry temat i ciepły, przemawiający do serca styl. Naucz się widzieć rzeczy takimi, jakie są, ale mimo wszystko patrz na nie z większego dystansu, bo wtedy są ładniejsze. Jeśli na górę patrzę z daleka, to jest ona piękn- a i niebieska, z bliska zaś – brązowa, nierówna, zakrza- czona, zwyczajna. Ale nawet i z daleka to wciąż jednak góra. Nigdy nie bądź całkowicie subiektywny, bo od te- go utoniesz, ale nigdy też na tyle obiektywny, żeby nie kochać swych postaci... Tak na marginesie, tę książkę napisał mój najlepszy przyjaciel...”

Powiedział to z tą swoją pouczającą manierą, a ja tego wtedy wcale nie zrozumiałem. Autorem książki był znany powieściopisarz, jedna z tych osób, z których dumne są Niemcy. Jego najlepszy przyjaciel?!...

...Poza tym dni przemijały cicho, monotonnie. Ojciec chodził polować z wyzłami, matka była zajęta prowadzeniem domu, moi młodszy braci – nieokiełzanym wyczynianiem psot, na jakie pozwala wiejskie życie, ja – samym sobą, Ernő zaś... Ernő chował się w swoim pokoju, czytał, zapisywał nuty. Jesień była już dość zaawansowana, a my postanowiliśmy nawet, że pierwszego wrócimy do miasta. O zmierzchu można było usłyszeć z salonu muzykę fortepianu. To grał Ernő. Kiedy tylko ktoś wchodził, on natychmiast przestawał grać. Jedynie mnie tolerował. Pewnego wieczoru grał bardzo długo, bez nut, zrobiło się już ciemno, wołano nas na kolację, ale on wciąż jeszcze grał jakąś długą, melancholijną, smutną melodię... Siadłem głęboko w fotelu i słuchałem go łapczywymi uszami. W pokoju zrobiło się całkiem ciemno, w mroku świecił jedynie jego papieros, niczym czerwone żarzące się oko, a dźwięki przybierały postać, kształt, stawały się cielesne, ciemny pokój się zaludnił, przed oczami drgały mi nigdy niewidziane obrazy i kolory. Aż naraz, jakby nożem ucięto, zamilkł. Zapytałem:

– Co grałeś?

Krótką chwilę milczał jeszcze, a potem cicho, zmęczonym głosem odparł:

– Moje własne życie...

I pośpiesznie wyszedł z pokoju. Kolacja minęła w porządku, choć bez humoru, Ernő przez cały wieczór milczał. Po kolacji moi młodszy braci buntowali się i domagali, żeby matka nastawiła im przed pójściem spać „muzykujący zegar”. Matka wstała z uśmiechem i skinęła na Ernő:

– Pamiętasz? Przy nim usypiano kiedyś i nas...

Weszli do bawialni, stał tam w kącie „muzykujący

zegar”. To był wysoki na dwa metry, politurowany zegar stojący, a jeśli go nakręcono, zaczynał wygrywać jakiegoś słodkawego, tańczonego w miejscu starowiedeńskiego walca, pokój zaś przenikało wspomnienie starych czasów, dawnych ludzi, porcelany i mebli. Moi młodszy bracia przysłuchiwali się z rozdziawionymi buziami. Przez pewien czas słuchał go i Ernő, aż w końcu odwrócił się, wyszedł z pokoju i zatrzasnął za sobą drzwi.

– To też jakaś filozofia... – wyjaśnił później mój ojciec. – Nienawidzi wszystkiego, co przypomina mu przeszłość, nie troszczy się o przyszłość, a i terażniejszość akceptuje tylko dlatego, że jest do niej zmuszony. Bez wątpienia smutna to sprawa...

Pewnego ranka Ernő wyszedł ze swojego pokoju, a twarz miał bardzo poważną. Przysiadł się do nas do stołu i w milczeniu, niemalże posepnie wpatrywał się w obrus. Zwróciło to uwagę matki, zapytała więc:

– Masz jakiś kłopot?

– Wezwijcie, proszę, pokojówkę. Na moim stole leżał taki większy pakiet nut, a wczoraj zniknął. Przeszukałem całe mieszkanie, ale nigdzie go nie znalazłem. Może Kati wie...

Weszła Kati i mocno się czerwieniąc, przyznała, że ona, a i owszem, wzięła ze stołu wielmożnego pana masę kartek, bo kucharka nie miała czym rozpać ognia. Ernő nie odezwał się ani słowem, tylko lekko wykrzywiła mu się twarz, tak że wokół ust pojawiła się dziwna, nieznana, surowa rysa. Wstał, przeciągnął się, kilka razy wygładził sobie marynarkę w miejscu powyżej serca. To był taki jego zwyczaj, a wtedy przez całe jego ciało przechodziło drzenie. Krótko, lakonicznie powiedział do służącej:

– W porządku. Może Kati odejść.

Moja matka życzliwie zwróciła się do Ernó:

– To były jakieś nuty? Podaj tytuł, zamówię je...

– Tego nie można zamówić... – odparł i uśmiechnął się gorzko. – Te ja sam zapisałem. No ale to nic, to wszystko jedno...

Mój ojciec nawet i zażartował:

– Widzisz, dlatego lepszy jest taki system, w jakim muzykuje Cygan. On to nie ma żadnych nut... Cały repertuar trzyma w głowie...

Ernó jakby się zgodził, że tak jest. Śmiejąc się, rozmawiali dalej, i myślę, że tylko ja przeczułem: tu wydarzyła się teraz mała tragedia. Jednakże sam Ernó nic nie mówił, chłodno milczał dalej, tylko gdy śniadanie dobiegało końca, powiedział, zwracając się do mojego ojca:

– Proszę cię, powiedz stangretowi, żeby jutro wczesnym rankiem zaprzął. Wyjeżdżam pociągiem o świcie...

Wszyscy w zdumieniu umilkliśmy. To przyszło bardzo niespodziewanie.

– Dlaczego? – spytał ojciec.

– Nie wiem... Muszę wyjechać. Jak sądzę, wzywa mnie Stephansturm albo obraz Carrière'a w muzeum w Dreźnie... Możliwe jest i to, że pojedę do Indii i obejrzę tego fakira, którego widziałem przed dziesięciu laty, przycupniętego na gwoździach u stóp pomnika Buddy... Zapytam go, co słyhać na tamtym świecie... W końcu przecież to dobrze, jeśli człowiek ma rozeznanie, gdy wyrusza w drogę.

To starał się powiedzieć żartobliwie, ale nikt się nie śmiał. Zdumienie zamroziło nam w gardłach głosy w ciszę.

...Wieczorem była u proboszcza uroczystość w ogrodzie, z lampionami. Ernó poszedł z nami, ale około pół-

nocy zniknął. Tamtego dnia – pamiętam – bardzo wiele razy gładził sobie marynarkę w miejscu powyżej serca.

Wczesnym rankiem usłyszałem skrzypnięcie z tej strony, gdzie były drzwi do pokoju Ernó. Zaspany, wstałem z łóżka i podszedłem do okna. Ze zdziwieniem zobaczyłem, że pojawił się już pierwszy szron. Wszystko – pelargonie, astry, ścieżki, liście drzew i cały ogród – pokryła cienka, delikatna, mieniąca się błona. Był pochmurny, mglisty październikowy poranek. Widziałem, jak Ernó bez kapelusza, w płaszczu podróżnym przechodzi przez ogród, następnie przystaje obok jednej z rabat, zrywa kwiat astra i wkłada go do portfela. A potem poszedł dalej, spowiła go mglista, poranna szarówka, obejmująca wokoło całą jego wysoką, nieco pochyloną postać. Później usłyszałem turkot powozu. Wyjechał.

Nigdy więcej go nie widziałem.

Spis treści

Tak się zaczęło (<i>Irena Makarewicz</i>)	5
---	---

1916–1927

Syn Lukrecji	23
Ernő	34
Mały notes. 11 IV 19XX	46
Rosyjskie imię	50
Podróż Metropolem. Opowieść	54
Rosyjscy goście	134
Sztuka	141

1928–1937

Nieudana przygoda	153
Węglarze	163
Rana	173
Spuścizna Bindera. Wstęp	185
Tancerka. Spuścizna Bindera	190
Pożegnanie z Emmą. Spuścizna Bindera	194
Rodzina	199
Kulturalny Rozmówca	211
Kelemen Kórmives	218
Miłość Higginsa	226
Wspomnienie z Kassy	240

1938–1947

Stara miłość	257
Niewolnik	264

Torba	274
Rola	283
Letnia znajomość	294
Nieruchomość	306
Młodość	315
Grzech	326
Hasło	339
Noc	351
Halasi	360
Głupia kobieta	371
Lujzika	383
Klucz	396
Jimmy King	408
Oszustwo	413
Piękny mężczyzna	423
Spóźnienie	434
Przeszłość	445
Nieporządek	455

Miłość i śmierć, życie i przemijanie, młodość i starość, ludzkie relacje i konflikty, polityka i świat, kultura i społeczeństwo to tematy opowiadań zebranych w *Starej miłości*, bogatym wyborze nowelistyki Sándora Máraiego. Począwszy od debiutanczkiego aż po ostatnie opowiadanie w twórczości tego klasyka XX wieku, z satysfakcją i przyjemnością przyglądamy się narodzinom i rozwojowi jego talentu. Obserwujemy, jak pisarz poszukuje motywów, wątków i postaci. Niektóre z nich rozwinięte w przyszłych powieściach, inne odrzucił na zawsze. Przypatrujemy się powstawaniu jego niepowtarzalnego stylu oraz sposobowi ukazywania rzeczywistości. Wraz z nim odczuwamy również emocje bohaterów, doświadczających wypadków życiowych i wielkiej historii. Stopniowo nawiązujemy też dialog z autorem, by odkrywać osobowość pisarza, zapisaną w jego twórczości.

ISBN 978-83-07-03466-9



9 788307 034669

www.czytelnik.pl

DOSTĘPNA TEŻ JAKO

E-BOOK